Joanna PETRY MROCZKOWSKA

AUTORYTET CZY AUTONOMIA – PERSPEKTYWA AMERYKAŃSKA

> *Kryzys autorytetu [...] pogłębił się, kiedy doszło do głosu pokolenie rewolucji kulturalnej [...]. Pokolenie to [...] wykazuje poważne opory wobec egzekwowania rodzicielskiego autorytetu, samo bowiem wzrastało pod hasłami ostatecznego rozprawienia się z nim.*

W angielskich definicjach słowa „authority" w zestawieniu z definicjami polskimi ujawnia się zasadnicza różnica semantyczna – autorytet w pierwszym rzędzie wiązany jest z władzą, kontrolą, dominacją, dopiero na dalszym miejscu wymienia się oddziaływanie przez wpływ, prestiż. W języku polskim używa się słowa „autorytet" niemal wyłącznie w tym drugim znaczeniu. Wśród synonimów angielskiego „authority" znajdują się takie pojęcia, jak siła, moc, przewaga, przymus, panowanie. Z angielskim „autorytetem" w liczbie mnogiej jest nieco jaśniejsza sprawa: „authorities" to po prostu władze, najczęściej wyżsi urzędnicy danej organizacji. Ponieważ tak pojmowany autorytet wiąże się z podporządkowaniem i posłuszeństwem, nierzadko wzbudza on strach i niechęć. Amerykańska państwowość, w swym najwcześniejszym anglosaskim wymiarze, została przecież zbudowana na kwestionowaniu autorytetu postrzeganego jako opresyjny. Z drugiej strony można chyba mówić o swoistym kulcie sprawiedliwej siły w twardej rzeczywistości Dzikiego Zachodu czy późniejszej dominacji pieniądza jako symbolu władzy i prestiżu społecznego. Nie można jednak uznać Stanów Zjednoczonych za światowy bastion walki z autorytetem, ponieważ to Rewolucja Francuska jako pierwsza zanegowała podstawy władzy z ideologicznego punktu widzenia, wychodząc z założenia, że zburzenie wiary w prawowitość autorytetu doprowadzi do obalenia systemu. Tym jednak, co wydaje się charakteryzować USA, jest fakt, że Amerykanie od dawna cieszą się wolnością niewiary w autorytet i – na dobre i na złe – nie wahają się dawać temu wyraz.

AUTORYTET I AUTONOMIA

W drugim tomie *O demokracji w Ameryce* – na co zwraca szczególną uwagę Richard Sennett w książce *Authority* (1980) – Alexis de Tocqueville nazwał osoby obdarzone władzą ludźmi niezależnymi i zauważył, że Amery-

kanie wolność rozumieją jako autonomię. I dzisiaj, sto pięćdziesiąt lat po słynnym opisie francuskiego obserwatora, w dalszym ciągu niezależność wybija się na pierwsze miejsce wśród powszechnych aspiracji. Niezależność „fizyczna", ale i ta bardziej subtelna, niezależność wewnętrzna. We wszystkich ankietach Amerykanie samodzielność (self-reliance) stawiają na czele najbardziej pożądanych cech osobowych, podczas gdy ufność, lojalność wymieniają na szarym końcu. Ludzie naszej doby wstydzą się bowiem słabości, a uzależnienie jest pojmowane jako jedna z najdotkliwszych jej form. Daleko odeszliśmy od rzeczywistości społeczeństwa arystokratycznego, w którym słabość takiej czy innej podrzędności nie należała do spraw wstydliwych – była bowiem „wrodzona".

Indywidualizm amerykański w odróżnieniu od innych jego form kładzie nacisk na pragnienie bycia pozostawionym w spokoju. Z reguły celem jest indywidualne rozwijanie zainteresowań, gustów i stylu życia. Okazuje się jednak, że warunki społeczne także w demokracji nie zapewniają równości i dlatego jednostce pozostaje mająca niewiele wspólnego z rozwojem życia duchowego ucieczka do wewnątrz, droga wycofania się, zobojętnienia.

Ideał ten, co zauważył już Tocqueville, ma tragiczne skutki. W sferze psychologicznej dochodzi do całkowitego zajęcia się sobą, narcyzmu. W sferze społecznej, aby uzyskać tak pojmowaną autonomię, jednostki pozostawiają systemowi wielkie pole do działania, byle tylko wąska sfera ich życia prywatnego została nienaruszona. Określając to zjawisko jako „welfare statism", Tocqueville tak pisze: „Równości zarzucam nie to, że prowadzi ludzi na manowce w pogoni za zakazanymi przyjemnościami, ale że pogrąża ich całkowicie w szukaniu przyjemności, które są dozwolone [...]. Wydaje się, że ten rodzaj praworządnego materializmu zapanuje na całym świecie. On to doprowadzi nie tyle do korupcji duszy, lecz bezszelestnie rozreguluje sprężyny jej działania".

Jak widać, wyjątkowo wnikliwie myślący Tocqueville słusznie obawiał się, że przeświadczenie, iż człowiek jest wolny tylko wtedy, gdy nie jest od nikogo zależny, doprowadzi do nieustannej frustracji. Ponadto uważał, że niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy przejdzie długo niezauważone, a kiedy się wyraźnie objawi, będzie już za późno.

NARCYZM

W sferze psychologicznej gloryfikacja niezależności i autonomii sprzyja wyrobieniu osobowości narcystycznej. Zagadnieniu temu pojmowanemu jako problem patologii społecznej interesującą książkę *Kultura narcyzmu* (1978) poświęcił zmarły niedawno amerykański historyk i krytyk społeczny Christopher Lasch. Jego analiza składa się na smutny obraz amerykańskiego społe-

czeństwa lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, trzeba jednak zaraz dodać, że ten narcystyczny model – jakkolwiek nie zniknął – stanowi od pewnego czasu przedmiot dość powszechnej krytyki, która zawiera elementy konstruktywnego planu zaradczego. Piszący dwadzieścia lat temu Lasch wyszedł z założenia, iż liberalizm – ideologia nabierającej znaczenia burżuazji – znalazł się w sytuacji bankructwa. Nauka, którą wypromował, nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich obserwowanych zjawisk ani zapobiec poważnym problemom społecznym. Humanistyka zdegenerowała się do tego stopnia, iż sama głosi, że nie ma nic do powiedzenia. Filozofowie nie tłumaczą już natury rzeczy ani nie mówią, jak żyć. Historia, która do niedawna stanowiła źródło takich pojęć, jak godność, patriotyzm, stała się niepotrzebna.

Wietnam, Watergate, niepokoje rasowe i społeczne podważyły nader skutecznie wiarę w autorytet władzy państwowej i Amerykanie doszli do wniosku, że liczy się jedynie dbałość o własną psychikę, świadomość własnych impulsów i przeżyć. Żyjąc wyłącznie chwilą przestali myśleć o przeszłości i przyszłości, stracili poczucie przynależności do sukcesji pokoleń. Doszły do tego specyficzne przeobrażenia typowe dla amerykańskiego życia społecznego i kultury amerykańskiej – poczynając od znaczenia biurokracji, natłoku obrazów, terapeutycznych ideologii, racjonalizacji życia wewnętrznego, kultu konsumpcji oraz zmian w modelu życia rodzinnego i stosunków międzyludzkich. Doprowadziło to do pojawienia się na masową skalę zaburzeń charakterologicznych jako formy patologii psychiatrycznej.

Nawiązując do tezy Tocqueville'a, Lasch zaznacza, że nie chodzi teraz tylko o ucieczkę od życia publicznego w sferę prywatności. Nie chodzi nawet o programowy indywidualizm czy egoizm, które istnieją nie od dzisiaj. Dzisiejsza osobowość narcystyczna charakteryzuje się szeregiem cech, z których za najbardziej typowe uznać należy: strach przed emocjonalnym uzależnieniem od innych, poczucie wewnętrznej pustki, tłumiony gniew, nie spełnione zachcianki. Tymczasem, jak na ironię, narcysta uzależniony jest od innych, ażeby móc uprawomocnić własne poczucie wartości. Można by więc mówić o konieczności wykreowania pomniejszych, zastępczych (fałszywych) autorytetów. Nie może on żyć bez podziwiającego otoczenia, które jest dla niego zwierciadłem. Jeśli sam nie jest obiektem admiracji, „przykleja" się do tych, którzy cieszą się popularnością, posiadają władzę czy charyzmat. Narcyści szczególnie boją się starości i śmierci, ponieważ ich poczucie własnej wartości opiera się głównie na podziwie zarezerwowanym ostatnio dla młodości, urody, popularności. Warto tu zwrócić uwagę na rozróżnienie pomiędzy sławą (fame) a popularnością, rozgłosem (celebrity). O ile sława wymaga dokonania wybitnych czynów (z punktu widzenia etycznego zarówno dobrych, jak i złych, bo – zauważmy – słowo „infamy" (niesława) wyszło już niemal całkowicie z użycia), to rozgłos wynika z uwagi, jaką dana osoba umiała sobie zjednać w środkach masowego przekazu. Dzisiejszy sukces musi być ratyfikowany

przez rozgłos. To właśnie popularność, rozgłos w praktyce życia społecznego systematycznie eliminuje znaczenie prestiżu cechującego „klasyczne" pojęcie autorytetu.

Rozluźnienie więzi społecznych stanowi narcystyczną obronę przed groźbą uzależnienia, utraty autonomii. Przetrwanie zastąpiło doskonalenie się jako cel ziemskiego bytowania. W świecie bezprawia, gwałtu i niepewności jutra najważniejszą sprawnością okazuje się spryt: tylko głupcy odkładają na dalszy plan korzystanie z życia. W następstwie pojawia się kult sukcesu, i to sukcesu opartego na pozorach. Miarą osiągnięć jest tylko porównanie z osiągnięciami innych. Zatraca się protestancka etyka pracy. Często ludziom bardziej zależy na tym, żeby im zazdroszczono niż ich szanowano.

Pozbawiony cech wyróżniających, bezbarwny, gładki w towarzystwie narcystyczny osobnik ogarnięty jest przez niepokój, niezadowolenie, depresję, poczucie pustki. Żyje w klimacie terapeutycznym, a nie religijnym, nie przyświeca mu bowiem indywidualne zbawienie, lecz jego dzisiejszy odpowiednik – chwilowa iluzja dobrego samopoczucia, zdrowia czy bezpieczeństwa psychicznego. „Psychologiczny człowiek" XX wieku poszukuje przede wszystkim spokoju, a pomóc ma mu w tym terapia – i to właśnie terapia urasta do rangi swoistego, pragmatycznego autorytetu. Ale nawet gdy terapeuta mówi o potrzebie „poczucia sensu" i „miłości", definiuje te pojęcia jako zaspokojenie emocjonalnych potrzeb pacjenta. Prawie nigdy nie przychodzi terapeutom na myśl – i z racji specyfiki samej terapii jest to niemożliwe – aby zachęcić pacjenta do podporządkowania własnych potrzeb i interesów potrzebom drugich. Miłość jako poświęcenie czy „zapomnienie" o sobie, „poczucie sensu" jako podporządkowanie wyższemu celowi – takie sublimacje wydają się terapeutom nieznośnie opresyjne, obrażające zdrowy rozsądek oraz szkodliwe dla zdrowia i dobrego samopoczucia. Wyzwolenie ludzkości z okowów takiego przestarzałego, opartego na poczuciu obowiązku modelu miłości stało się misją postfreudowskich psychoterapii, a szczególnie ich propagatorów, dla których zdrowie psychiczne oznacza odrzucenie zahamowań i natychmiastowe zaspokojenie każdego impulsu.

Lasch dochodzi do wniosku, że warunki życia w Stanach Zjednoczonych bardziej niż gdzie indziej wydobywają z ludzi cechy narcystyczne, które w mniejszym lub większym stopniu tkwią w każdym człowieku. Społeczeństwo, które obawia się, że nie ma przyszłości, nie będzie się oczywiście troszczyło o potrzeby młodego pokolenia. Skutki tego staną się widoczne w pierwszym rzędzie w rodzinie. A tymczasem to właśnie rodzina, szkoła i Kościół były zawsze instytucjami, w których dokonywało się przekazywanie wartości danej kultury.

RODZINA

Z autorytetem rodziny szczególnie ostro od lat siedemdziesiątych walczył radykalny feminizm, piętnując nade wszystko patriarchalizm uznawany za korzeń wszelkiego zła. Ale jak przestrzega Robert Bly w najnowszej książce *The Sibling Society* (1996) – jeśli ktoś cieszy się z tego, że został zniszczony autorytet ojca, powinien zdać sobie sprawę z tego, że w ślad za nim zostanie zniszczony autorytet matki. Potem będzie już tylko zbiorowisko sierot. Brak ojca u biedoty objawia się agresją gangów (zauważmy, że – jak na ironię – opierają się one na silnym i destruktywnym autorytecie lidera), natomiast w środowiskach zamożnych – depresją i biernością. W mniej skrajnych przypadkach autorytet rodziców jest po prostu niepokojąco zagrożony. Zjawisko to miało dość niewinne początki, gdyż wiązało się najpierw z propagowaniem profesjonalizmu. Doprowadziło jednak do dobrowolnego zrzekania się autorytetu przez rodziców, którym od dziesiątków lat przy różnych okazjach wmawiano, że nie są kompetentni w zakresie opieki i wychowania młodego pokolenia: lepiej zastąpią ich pediatrzy, psychologowie, psychoterapeuci, poradnie wychowawcze, urzędnicy socjalni oraz odpowiedni specjaliści.

Kryzys autorytetu – o czym pisze psycholog Laurence Steinberg w książce *Beyond the Classroom* (1996) – jeszcze się pogłębił, kiedy doszło do głosu pokolenie rewolucji kulturalnej wdrożone do eksplorowania narkotyków i nieograniczonego seksu. Pokolenie to, które właśnie teraz wychowuje dzieci i młodzież, wykazuje poważne opory wobec egzekwowania rodzicielskiego autorytetu, samo bowiem wzrastało pod hasłami ostatecznego rozprawienia się z nim. W rezultacie dochodzi do wytworzenia się tak zwanego społeczeństwa rówieśniczego. Społeczeństwo takie cechuje się przede wszystkim tym, iż nie ma już w nim obdarzonej autorytetem starszyzny, która swoją wiedzę przekazuje młodym. Dzieciństwo – w dotychczasowym rozumieniu tego słowa – przestaje istnieć, ponieważ wraz z zanikiem poczucia wstydu niczego przed dziećmi się nie ukrywa: od najmłodszych lat są one wciągane w orbitę problemów dorosłych, głównie za sprawą rewolucji w dziedzinie masowego przekazu, który – za Christine Nystrom – można by nazwać „niewidoczną metafizyką" technologii. Młodzi są jakby przedwcześnie dorośli, a starsi „chronicznie" niedojrzali – ponieważ jednocześnie wydłuża się okres młodości, nie mają bodźców do dorastania, czyli nabycia odpowiedzialności. Neil Postman w książce *The Disappearance of Childhood* (1982) korzenie tego zjawiska widzi we władzy telewizji, która w praktyce wyeliminowała poczucie wstydu. Druk również mógł odsłaniać pewne sekrety, jego dostępność była jednak ograniczona i wymagała znacznie większego wysiłku niż przekręcenie gałki odbiornika telewizyjnego.

Dochodzi do tego nowy fenomen. Kino i telewizja zaczęły od pewnego czasu lansować raczej nieznaną dotąd „prawdę", iż dzieci wiedzą najlepiej.

Minęły czasy, gdy reżyserzy tworzyli filmy, w których młode pokolenie uczyło się od rodziców. W obecnych filmach to właśnie rodzice niejednego uczą się od dzieci. Jeśli nie mamy do czynienia z rodzicami okrutnikami (*Dead Poets' Society*, 1989, *Radio Flyer*, 1992) czy przestępcami (*Say Anything*, 1989), to w najlepszym razie okazują się oni nieudacznikami (*Look Who's Talking*, 1990, *Little Man Tate*, 1991, *All I Want for Christmas*, 1991, *I'll do Anything*, 1994 czy Homer Simpson z arcypopularnego programu telewizyjnego) i dzieci mogą się doskonale bez nich obyć. Nawet filmy tak „niewinne" i uznane za rozrywkę stosowną dla całej rodziny jak *ET* czy *Home Alone* przekazują morał, że dorośli stanowią zasadniczą przeszkodę na drodze do upragnionej samodzielności. Naiwnością jest spodziewać się, że obejrzawszy na ekranie dziesiątki głupich i nieporadnych rodziców, na których czele stoją progenitorzy z tegorocznej *Matyldy*, młodzi ludzie będą uważali, iż ich rodzice są wyjątkowi i nie należą do tej kategorii. Obaliwszy autorytet rodziców, gloryfikując swobodę seksualną, dyskredytując instytucję małżeństwa przemysł rozrywkowy skrajnie utrudnia i tak niełatwe zadanie wychowania młodego pokolenia. Oglądanie telewizji niszczy życie rodzinne i nierzadko staje się jedynym rytuałem w rodzinie. Bierny odbiór jest oczywiście łatwiejszy od rozmowy, a tym bardziej od konfrontacji, i rodzice aż nadto często widzą w telewizji sojusznika w ucieczce od trudu wychowania.

Autorytet rodziców, kwestionowany w środkach masowego przekazu, w rozmaity sposób podważany bywa także przez szkoły publiczne, które z ustanowienia prawa mają zachowywać pełną neutralność wobec systemów wartości moralnych uznanych za domenę religii. Afektywna, terapeutyczna metoda kształcenia, do niedawna powszechnie stosowana, zabraniała „odgórnego" zalecania rozwiązań, co w praktyce oznaczało zakaz przekazywania (określa się to jako narzucanie) jakichkolwiek wartości. Nauczyciele otrzymali zalecenie, aby skupić uwagę na emocjach uczniów oraz utwierdzać ich w poczuciu dużej własnej wartości. Aż nadto często stawali się oni sprzymierzeńcami młodych ludzi w konfrontacji z tymi rodzicami, którzy mieli zdecydowane poglądy na temat zasad moralnych. Według sloganu orędowników takiego podejścia „rodzina powinna być jak słoń – mieć wielkie uszy", a więc słuchać, a nie wypowiadać się. Ostatnio zauważa się jednak odwrót od tych metod. Badania wykazują bowiem konsekwentnie, że najlepsze wyniki uzyskuje się nie w rodzinach autorytarnych ani permisywnych, lecz w autorytatywnych, tj. takich, w których miłość do dzieci połączona jest z jasno postawionymi wymaganiami. Rodzice – bez wyłącznego powoływania się na własny autorytet – używają go do kierowania dzieckiem poprzez tłumaczenie, dlaczego należy tak, a nie inaczej postępować.

SZKOŁA

Atmosfera kwestionowania autorytetu nie pozostała bez wpływu na szkolnictwo. Począwszy od lat sześćdziesiątych wychowanie w szkole określano jako „wypracowanie umiejętności podejmowania decyzji". Przebiegało ono dwutorowo. Teoretycy odcinali się od tradycyjnego podejścia polegającego na wyrabianiu charakteru. Odbywało się to jednak w atmosferze chwalebnych intencji: w założeniu chodziło o nauczanie dzieci krytycznego i niezależnego myślenia. Propagatorzy tego podejścia uważali, że młody człowiek będzie bardziej związany z takimi wartościami, do których sam dotrze. W pierwszym etapie lansowano tak zwane wyjaśnianie wartości, którego głównymi propagatorami byli profesorowie pedagogiki: Luis Raths, Merrill Harmin i Sidney Simon. Opracowali oni podręcznik, w którym – nawiązując do psychologii ludzkiego potencjału Carla Rogersa – wykładali swą metodę polegającą na skoncentrowaniu się na uczuciach w atmosferze całkowicie wolnej od wszelkiego osądu. Nastąpiło tu faktyczne zrównanie uczuć z wartościami – wartością jest to, co lubisz, nie to, co powinieneś. Pod hasłem neutralnego podejścia do wartości (value-neutral approach) sugerowano całkowity relatywizm. Najczęstszą metodą prowadzenia lekcji stała się otwarta dyskusja o wartościach, przy założeniu, że młody człowiek powinien słuchać tylko siebie – nikt nie ma prawa wskazywać mu zasad postępowania. Wypracowanie konkluzji na takich lekcjach okazywało się niemożliwe, ponieważ uczniowie gubili się w gąszczu opinii o charakterze subiektywnym. Przypieczętowaniem relatywizmu bywało głosowanie uczniów za takimi czy innymi wartościami. Metoda ta była bardzo rozpowszechniona ze względu na łatwość jej wprowadzenia w szkole, nie wymaga bowiem szkolenia nauczycieli, zapewnia ożywione lekcje i spotyka się ze zrozumiałą popularnością wśród uczniów. Była też wygodna z innego punktu widzenia: stanowiła teoretyczną podstawę do kwestionowania autorytetu, zwalniała z konieczności dawania młodym dobrego przykładu przez dorosłych. Gdy ta praktyka szkolna stała się bardziej znana poza szkołą, obudziła jednakże sprzeciw, głównie rodziców.

Drugą sprawą było tak zwane rozumowanie etyczne, które w pedagogice amerykańskiej propagował Lawrence Kohlberg, psycholog z Harvardu, opierający się na wcześniejszych teoriach szwajcarskiego psychologa J. Piageta. Podejście to wydaje się odmienne i z pozoru komplementarne w stosunku do wyjaśniania wartości, gdyż – aczkolwiek odrzuca pracę nad charakterem – zakłada myślenie krytyczne. Młodzi mają podejmować własne decyzje, a te powinny być oparte na przesłankach intelektualnych. Podstawą było tu przekonanie, że umiejętność racjonalnego myślenia musi prowadzić do zachowań etycznych. Właściwe myślenie etyczne, które wraz z rozwojem intelektu osiąga się na wyższym etapie rozwoju osobowego, uznano niesłusznie – jak dowodzą wszystkie badania w tym zakresie – za jedyną i niezawodną przyczynę spra-

wczą właściwego postępowania. Opierając się na fałszywym założeniu, że młodzież przyswoiła już sobie podstawowe zasady moralne, w praktyce szkolnej sięgnięto do wysoce hipotetycznych, oderwanych od rzeczywistości dylematów. W metodzie Kohlberga zagubiło się też całkowicie rozróżnienie między pokusą (które to pojęcie jako staroświeckie i niemodne od dłuższego już czasu wypierane jest konsekwentnie z języka) a dylematem. Kohlberg, który nawiązywał do dylematów Sokratesa, nie wziął pod uwagę zasadniczej przesłanki – nie były one przeznaczone dla dzieci. Warto przypomnieć, że już Platon przestrzegał, iż ludzie młodzi mogą bardziej polubić dyskusję, spory słowne niż prawdę. Dziś – co budzi optymizm – zauważa się odejście od Kohlbergowskiej metody i powrót do tradycyjnego wychowania w oparciu o wyrabianie charakteru.

KOŚCIÓŁ

Truizmem będzie stwierdzenie, że religia jako autorytet w kwestii wartości duchowych i moralnych w dzisiejszym zsekularyzowanym świecie musi natrafiać na przeszkody. W Stanach Zjednoczonych, gdzie w Deklaracji Niepodległości zapisane jest prawo do poszukiwania szczęścia, a praktyka życia społecznego aż nadto często unaocznia wszechwładzę pieniądza, problemy duchowe i moralne wydają się niepotrzebnie komplikować życie.

Z jednej strony mamy do czynienia z problemem wpływu i prestiżu religii „na zewnątrz", z drugiej – z utrzymaniem autorytetu we własnych szeregach. Poszczególne wyznania bardzo różnie podchodzą do tej kwestii i nie miejsce tu na szczegółowe rozważania. Katolicy – co w amerykańskim życiu publicznym opartym na ogromnej różnorodności wyznaniowej stanowi swoisty wyjątek – zobowiązani są, jak wiadomo, do respektowania autorytetu Kościoła. Mimo ataków z zewnątrz i od wewnątrz, co oczywiście nie jest zjawiskiem ograniczonym do tego kraju, wiarygodność Kościoła katolickiego wydaje się nie ponosić uszczerbku. Można by natomiast zwrócić uwagę na ogólną tendencję polegającą na tym, że przywiązani do indywidualizmu i prywatności Amerykanie aż nadto często za ostateczną instancję w kwestii wiary uważają własne sumienie. Sprawa jego prawidłowej formacji jest więc zagadnieniem zasadniczym. I tu chyba – jak w przypadku wychowania w rodzinie – najcelniejsze byłoby postępowanie autorytatywne – nie permisywna abdykacja autorytetu Kościoła ani autorytarne zakazy i nakazy. Nie zaszkodziłoby też przypomnienie innego aspektu autorytetu, a mianowicie obietnicy w nim zawartej, że pozostające pod jego wpływem osoby uczyni z czasem silniejszymi.

W kraju od zarania dziejów zdominowanym przez protestancki establishment, walczący o swoje miejsce katolicyzm stopniowo nabierał znaczenia i dziś stanowi najbardziej liczną, zwartą i żywotną grupę wyznaniową o niekwestio-

nowanych osiągnięciach. Trzeba jednak mieć na uwadze to, że – jak pisze Stephen Carter w książce *The Culture of Disbelief* (1983) – Stany Zjednoczone nadal borykają się z trudnościami w wypracowaniu równowagi między poszanowaniem wolności religijnej a strachem wobec dominacji religii w sferze politycznej, czy nawet publicznej. „Jesteśmy jednym z najbardziej religijnych społeczeństw w świecie [...], lecz z drugiej strony jesteśmy chyba także najbardziej gorliwi w niedopuszczaniu wyraźnego wpływu religii na nasze instytucje publiczne. W związku z tym zmuszamy obywateli, aby rozdzielili sferę życia publicznego od sfery życia prywatnego, dając im do zrozumienia, że o ile nie ma problemu z prywatną religijnością, o tyle sprawy mają się zgoła inaczej, gdy owe prywatne przekonania stają u podstaw działań publicznych".

Ta nieracjonalna obawa przed publiczną identyfikacją z wartościami prowadzi w konsekwencji do swoistej „moralnej schizofrenii": radykalnego zerwania ciągłości między życiem prywatnym a publicznym. Nieuchronnym następstwem takiego stanu rzeczy jest stopniowa ewolucja państwa w kierunku pozytywizmu prawnego, wraz ze wszystkimi jego niebezpieczeństwami.